TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie...........$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii...........$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 35. Chicago, Ill., Czwartek, 1-go Września, 1898. Rok XII.

Bohaterka z nad Szreniawy.

POWIEŚĆ

Z DZIEJÓW NASZYCH

— PRZEZ —

PAULINĘ KRAKOW.

(Ciąg dalszy.)

Z Brzezia rzadkie przychodziły wieści; pani Hanna, zatopiona w modlitwie i pracy, od czasu do czasu słała wiernego sługę, by jej przyniósł wiadomości od córki, ale nie wzywała Halszki do domu i zakazywała surowo choćby najmniejszej o tem wzmianki, że zdrowie jej dotąd kwitnące, coraz podupadać zaczynało.

Od wojska także napróżno wyglądano wiadomości; król z rycerstwem ciągle siedział w Przemyślu, a mieszkańcy radzi mu byli, spodziewając się, że z pomocą gości miasto ich tyle się wzmoże, iż z wielkim a starym Kijowem się porówna. O bitwach nic słychać nie było. Kiedy niekiedy przyjechał wysłaniec jaki od króla, dążył do Krakowa, wstępował na Wawel, składał królowym piękne futra i wzorzyste szaty w upominku; potem zbierała się rada na zamku, czytano królewskie pisanie, odpowiadano na nie i wyprawiano wnet gońca; a chociaż w całym kraju ciekawość była wielka i każdy snuł rozmaite domysły, nikt naprawdę nic nie wiedział, i cicho a smutno było po całej polskiej ziemi.

Minął tak rok; na drugi przybył do Zembocina giermek pana Mikołaja; król niechętnie patrzał na wysełanie ludzi z obozu, utrzymując, że po trosze wszyscy się rozejść gotowi, dla tego tak rzadkie były wieści.

Giermek wypytywany ciekawie opowiada młodym kobietom rozmaite o rycerstwie szczegóły, które na długo wystarczyć im miały do uspokojenia i rozważania, gdyż pan na Zembocinie zapowiadał, że resztę sam opowie za powrotem, który może niezadługo nastąpi.

Przez tegoż samego gońca panowie z Brzezia przesyłali wieści o sobie. Przywykli wraz z całem rycerstwem do szybkiego rozstrzygania wszelkich zatargów orężem, przykrzyli sobie przymuszoną bezczynność i oddalenie od domu, tembardziej, że król Bolesław zapytań nie lubił. Mało kto się domyślał, dla czego tak długo siedział w Przemyślu, zamiast iść na Kijów i wstępnym bojem pogodzić od razu sprzeczających się tam o władzę krewniaków, a potem wrócić do domu. Ci tylko rycerze, którzy do zaufanej rady Bolesława należeli, wiedzieli że on teraz rozważniejszy, nie o samej zgodzie sąsiadów przemyślał, ale widząc ciągle książąt swary i niechęć ztąd ludu, przeczuwał, że przyjdzie chwila, gdzie znękany ciągłemi zatargami naród powoła go do panowania i że jak pradziad jego Wielki Bolesław zawładnie całym krajem, mając przy sobie liczny zastęp bitnego rycerstwa, coby mu w takim razie skutecznie pomogło. Zabezpieczywszy się z tej strony, myślał waleczny król zwrócić się na Niemcy, odzyskać Pomorze, które utracił i konie swoje wykąpać w Baltyku.

Dla tego to najznakomitsi mężowie, świadomi tak wielkich zamiarów, stali przy królu, choć na pozór nic nie robił i spodziewali się, że nie dziś, to jutro, zamysły jego wykonane zostaną. O tem zaś, co sami wiedzieli, zachowywali głębokie milczenie, by planów królewskich nie zdradzić. Bolesław przejeżdżał się z wybranym orszakiem z miasta do miasta, bawiąc się, ucztując, zyskiwał sobie serca bogatych mieszkańców i coraz więcej lubował sobie w zbytku i uciechach, tak niewłaściwych dla wojownika i króla w niepewnej siedzibie.

* * *

Gdyby człowiek chciał zawsze pamiętać na to, że czas ani na jedną chwilę nie staje, że czy się ludzie cieszą, czy trapią, czy śmiech ich wesoły rozlega się w powietrzu, czy łzy boleści skrapiają ziemię, on bieży i bieży bez przerwy, lepiejby się może z czynnościami i z uczuciami swemi rachował; ale najczęściej, zamiast pracować usilnie, zdajemy się na los, na przypadek lub szczęśliwe okoliczności, ufając, że jakoś powoli wszystko się szczęśliwie ułoży.

Tak było i w naszym kraju, w spokojnem na pozór lecz ważnem i ciężkiem w następstwach siedmioleciu, od 1075. W pierwszym roku wszystko szło dobrze; chociaż bowiem nie było w domu panów i gospodarzy, trwał jeszcze zaprowadzony przez nich porządek i tak rodzina, jak służba, pilnowała się w wypełnianiu obowiązków, bo z nadzieją powrotu rycerzy każdy spodziewał się nagrody lub pochwały, każdy się napomnienia obawiał. Ale gdy minął rok i drugi, a trzeci i czwarty przechodził w niepewności, zaczęły słabnąć pojęcia obowiązku, rozwięzywały się silnie niegdyś skojarzone stosunki, słudzy opuszczali rodziny swoich panów, kmiecie worywali się w dworskie pola, z trudnością wychodzili do roboty na rolę, a pozostałe w domu kobiety i dzieci nie miały dość silnej woli, by wszystko w dawnych karbach utrzymać.

Im dalej, z tem większą przychodziło wszystko trudnością; stęsknionym, znużonym niepokojem i obawą, wyglądającym co chwila powrotu opiekunów, co silną dłonią mogli byli od razu dawny ład zaprowadzić, ciężko było niewiastom swarzyć się i uganiać z zuchwałą gromadą, której jednak pracy i pomocy potrzebowały, by swoje i nadrastające dzieci życie utrzymać.

Wszystko zatem do upadku dążyło, codzień gorzej było w kraju, a czas płynął i płynął swoim zwyczajem.

Siódmy się już rok zaczął od wyjazdu Mikołaja Strzemieńczyka do królewskiego wojska; w Zembocinie jak wówczas, żona jego mieszkała we dworze z dorosłą już teraz i całym blaskiem piękności jaśniejącą siostrą Elżbietą, ale nie było tej ciszy i swobody w ich życiu co dawniej. Zrażone śmiałością i szorstkością swego otoczenia, usuwały się coraz bardziej od stykania się z tą służbą, tak niegdyś pokorną, a dziś tak codzień zuchwalszą; mało potrzebując

dla siebie, nie żądały nic prawie i gdyby nie stary Biernat, co go Mikołaj namiestnikiem swoim przy wyjeździe postanowił, możeby im na pierwszych potrzebach zbywało.

Kobiety służebne trzymały się jeszcze dworu, ale stosownie do własnej woli i fantazyi to służyły swym paniom, to wybiegały na zabawy i śmiechy do kmiecych zagród; nie proszono o pozwolenie na grzybobranie, zbierano jagody i orzechy, nie zdając z tego nikomu sprawy, schodziły się obce dziewki na wieczorynki, czasem do czeladniej wieczerzy zapraszano kmiecego syna lub parobka z sąsiedztwa, panie nie żałowały nikomu chleba i soli, ale dom zmieniał postać swoję cichą i poważną i coraz gwarniej, głośniej było w Zembocinie, choć panie jego codzień były smutniejsze i niespokojniejsze.

Zwyczajem było w rodzinie, że na Wielkanoc z Brzezia do Zembocina i nawzajem przesyłano sobie drobne podarki, a między innemi malowane jaja Umiejętna Rzepka nadawała im nieznane gdzieindziej znaki i kolory, a Halszka, dawna jej wychowanka, naśladowała ją w tej sztuce, dobierając coraz nowych pomysłów i wzorów. Cieszono się na te święta, bo przybywały z domu wiadomości a z sąsiedztwa powiastki i plotki, lubo niepewne ani wyraźne, zbierały się przecież wieści od dworu i rycerstwa, tyle zawsze upragnione. Przeszła Wielkanoc w próżnem oczekiwaniu i ponurem milczeniu; sługi niechętnie zajmowały się koniecznem przyrządzaniem jadła na dwa dni świątecznie, by podług dawnego zwyczaju poświęcić je modlitwie i spoczynkowi; z kmiecych chat żadna niewiasta nie przyszła do pomocy, bo one same piekły swoje kołacze i korowaje, do zwyczajnego nawet wiosennego odświeżenia domu i oczyszczenia całego obejścia przyjść nie mogły, bo wyraźnie wszystkie ręce się usuwały od pracy.

Stary Biernat krzyczał, klął i wygrażał kijem, ale zamiast posłuchu odbierał zuchwałe pogróżki i nieraz wzburzony przychodził do pani, prosząc o pozwolenie ukarania zuchwałych.

— Mam przecię jeszcze pachołków — mówił — a który z nich chce jeść z dworskiej misy, słuchać mię musi; jak im każę pochwycić i związać nieposłusznego warchoła, a otrzepawszy wsadzić do lochu na chleb i wodę, to wszystko znów do dawnego powróci.

— Powoli, powoli, Biernacie! — odpowiadała Małgorzata — trzeba do nich spokojnie jakoś przemówić, nie drażniąc; może się sami opatrzą, a jak da Bóg, że pan powróci, to się wszystko uciszy.

— Dobrze wam tak mówić, bo nie wiecie, co się święci; ze starszymi to jeszczeby człowiek nie trafił do ładu, ale najgorsze te dudki, co bez kary z dzieciuchów powyrastały; co to temu w głowach, a co w gębie, Boże odpuść! aż uszy więdną.

— Wiesz, Małgosiu! — rzekła Halszka z cicha — on słusznie mówi. Nie chciałam cię niepokoić, ale ja sama nieraz słyszałam takie rzeczy, że aż mnie twarz od nich paliła; nie śmiem nawet chodzić na pole gdzie orzą, bo już parę razy przemówiono do mnie i o mnie, jak mawiają do Zuźki lub Barbarki.

Małgorzata ścisnęła siostrę za rękę, a w spojrzeniu jej znać było, że powód tej skargi nie był jej niewiadomym. W istocie ona sama, choć starsza, zamężna i pani dworu, coraz mniej spotykała tego uszanowania, do którego nawykła z dzieciństwa pod opieką zbrojnej prawicy ojca a później męża.

Na ten raz skończyło się na tem; Biernat mruczał, zrzędził, ale jeszcze sobie jakiś czas radził, nieodwołując się do pani; wyprawiono chłopaka do Brzezia po wiadomości, bo już stęsknionym córkom zbyt się dłużył czas rozłączenia. Parę tygodni spłynęło w oczekiwaniu, wysłaniec nie wracał i już go oczekiwać przestano, gdy w miejscu jego przyszedł strudzony dość daleką drogą stary Matys niegdyś woźnica, od lat kilku wierny dozorca w Brzeziu.

Nie było tam weselej, ani spokojniej niż w Zembocinie; zuchwali kmieciowie i słudzy nietylko, że z żadną nie przychodzili pomocą, ale w same święta wielkanocne licznym tłumem zebrali się przed dworem, a kiedy im kobiety dworskie drzwi przed oczyma zatrzasnęły, powiedzieli, że chcą po staremu pani się pokłonić.

Pani Hanna kazała wpuścić starszych którzy wprawdzie pokłonili się przed nią, ale gdy ich do nakrytego stołu na chleb i sól zaprosiła, zamiast przyjąć wdzięcznie, jak kiedyś tę oznakę gościnności, odmówili utrzymując, że nie w gościnę ale ze sprawą przyszli.

— Jakąż sprawę możecie mieć do mnie? — rzekła pani domu — wiecie, że ja inaczej nie rozrządzać nie będę, tylko jak mąż mój postanowił. Przeszło już tyle czasu, poczekajcie jeszcze, jak powróci, to się sam z wami ułoży.

— Wiecie wy dobrze, że on już nie wróci, — rzekł najwymowniejszy z gromady — nie wróci, jak nie wrócił krewniak wasz z Brożycy.

Zatrwożyła się pani, ale po chwili, krzepiąc się na duchu, rzekła:

— Bóg widzi, że ostatnie wiadomości, jakie miałam od mego męża i pana, były pomyślne i że niezadługu wrócić obiecywał.

— Obiecać mógł, ale dotrzymać czy potrafi, ztamtąd gdzie się teraz okrutnie rąbią i kłóją, to rzecz inna. My też mamy swoich wysłańców, co nam wieści znoszą i wiemy, że mało kto wyjdzie żywy z onych tam opałów.

Lubo z sercem ściśniętem tą obojętnością, z jaką przy niej tak bolesne wymawiano przypuszczenia, pani Hanna zapytała spokojnie na pozór:

— Więc czegoż chcecie odemnie? cóż mam zrobić, byście znów pracowali spokojnie, dopóki nie dowiemy się prawdy?

— Zróbcie nam sprawiedliwość! No co wam tyle ziemi, koni, wołów? Dla czego mamy wszyscy na was pracować? Alboż to sami jedni potrzebujecie tyle?

— Pracowaliście jednak i dobrze wam było.

— Pracowaliśmy, bo był pan domu; była głowa, co i królowi stawić się mogła, tośmy chętnie słuchali, bo w każdej potrzebie poradzić, a i obronić nas było komu. A dziś co? dawne pachoły przynoszą nam wasze rozkazy, a jak się poswarzymy, to i pogodzić nas niema komu. Dzieci nasze rosną, ani ich gdzie na służbę lub robotę dać, ani nie ma na czem osadzić; cóż dalej będzie?

Pani Hanna lubo łagodna i dobra, umiała rzeczy ważyć i szybkie tworzyć postanowienia; rzekła więc:

— Moi ludzie, idźcie z Bogiem! Ziemi nie dam, ani zabierać nie pozwolę, bo to królewskie prawo; ale jeśli wam brak wołów, koni, lub czegokolwiek co moję własność stanowi, podzielę z wami chętnie.

I tym sposobem uciszyła na czas jakiś wzburzonych; kazała otworzyć stajnie, śpichrze, obory i patrzała spokojnie, jak z okrzykami radości zabierano jej mienie, jak się ludzie rozzuchwaleni kłócili i bili pomiędzy sobą, komu się lepsza część łupu dostanie. Odwołała Matysa, co chciał ocalić jakąś część dobytku i kazała wszystkie drzwi i wrota dworskie silnie zaprzeć, zapowiadając, że odtąd nic od kmieci żądać nie będzie i widzieć ich nie chce, póki pan do Brzezia nie powróci.

Tak opowiadał Matys, wysłany w jakiś czas potem przez niespokojną matkę do córek, by je zawiadomić, co się działo w domu i jaki to duch oporu i chciwości rozszerzał się po kraju. Bo nie w Brzeziu tylko podobny zaszedł wypadek; gdzie nie umiano cząstkowem ustępstwem zaspokoić w porę chciwego tłumu, tam zabierano wszystko; żony, wdowy i dzieci rycerzy nie dających wieści o sobie, wyganiano ze dworów, zajmując je dla siebie i ucztując przy stołach nie dawnych panów swoich.

Gdzieniegdzie gorzej jeszcze się działo: niewiasty, których mężowie rzeczywiście na wojnie polegli, lub też złudzone fałszywą o ich śmierci wieścią, nie mając odwagi oprzeć się naciskającemu prostactwu i nie chcąc się narażać na nędzę i prześladowanie, powychodziły za kmieci, a nawet za pachołów niedawno w domownictwa liczbę przyjętych. Takie dwory odpadały od rycerskiego społeczeństwa; znajomi, krewni, nawet bliższa rodzina usuwała się od takiego domu, gdzie poszanować nie było kogo, a może podług dawnych praw i zwyczajów nie chciano, lub nie umianoby ich przyjąć.

W pierwszą niedzielę, po nabożeństwie, Zembocińskie panie wraz z Matysem poszły na plebanię, by wszystko opowiedzieć staremu przyjacielowi, proboszczowi miej-

ścowemu, zacnemu i sędziwemu bożemu słudze.

Wysłuchawszy uważnie, rzekł:

— Dziateczki! nie nowa to dla mnie rzecz; od dawna przewidywałem, że do tego przyjdzie; chybaby Bóg świętą wolą swoją sprowadził nakoniec do kraju one głowy, co z Jego ramienia od tak dawna ład tu trzymały, a co teraz na obczyźnie może marnieją.

— O! tak, mój ojcze! wszyscy za tem gorąco wzdychamy, bo to jedyny sposób wrócenia do spokoju, tak bardzo dziś zamąconego.

— Kiedy trzoda odbiega pasterza, słudzy buntują się przeciw panu, dzieci odstępują ojca, to już, dziateczki moje, nie może być inaczej. Znacie tak dobrze, jak ja sam, tych wszystkich co ochrzczeni, nauczeni, zaślubieni w tym kościele, przychodzili tu dziękować Bogu za szczęście swoje, przychodzili po radę, pomoc, pociechę w smutkach i dolegliwościach i odnosili ją. Dziś ilu z nich widzieliście na dawnych miejscach?

— Dziwno nam było, dla czego tak mało ludzi było na dzisiejszem nabożeństwie; dziwniej jeszcze i przykro bardzo, że nawet ze dworu ledwie połowy domowników, a nawet kobiet doliczyć się było można.

— A ja się już nie dziwię, dziateczki! Niech tylko dla jednego zła uchylą się drzwiczki, a już wszystkiemi szparami leci ich cała chmura, ciśnie się i rozsiada. Bóg widzi, że pracy mojej nie żałuję; ostrzegam i napominam, zdrowie i życie moje dałbym chętnie, by utrzymać na wierne sługi Bogu tę gromadkę, którą przyrzekłem prowadzić podług Jego woli; i cóż ztąd! Uciekają od starego proboszcza, co nawołuje do poprawy, a po lasach i trzęsawiskach, z czarami miodu w rękach, plączą się w kółka i wyśpiewują pogańskie śpiewki.

— Ach, mój ojcze! czyżby aż do tego przyszło?

— Przyszło, dziateczki, przyszło! Na kwietnią niedzielę czekałem aż po dawnemu chłopaki i niewiasty naznoszą wiosennego ziela, borówek, leszczyny, mchu zielonego, by z tego postroić palmy i przyjść z niemi na poświęcenie do kościoła; nie widząc nikogo w sobotę po nieszporach, wyszedłem sam z kościelnym chłopcem do lasu, by choć dla nas na palmy nazbierać zieleni, bo myślałem sobie, że może ludzie zapomnieli, lub czasu nie mają. Tymczasem w lesie aż się czerniło; uwijały się kmiecie niewiasty, pachołkowie i nie rzadko gospodarze, a zbierali, wiecie co?

— Palmy pewnie, choć zapóźno?

— Wcale nie: umyślnie czekali zmroku, wyszukując bylicy, jemioły rosnącej na pniach dębowych i różnego ciemnego ziela, bo ich to od czarów bronić miało, albo do nich pomagać. A śpiewali, pokrzykiwali jakby w mięsopusty. Chciałem do nich przemówić, ale wołałem napróżno, więc odwróciwszy oczy i przysłoniwszy uszy, zawróciłem się do domu bożego, by się Panu użalić i za zbłąkanych pomodlić.

Stary Matys pokłonił się księdzu do kolan, mówiąc:

— Cóż na to począć, mój jegomość? bo mnie pani z Brzezia wysłała tu wyraźnie z tem poleceniem, by córek jej oto strzegł i pilnował jak źrenicy oczu.

— Modlić się i ufać, że Bóg odwróci złe co nam grozi; idźcie w pokoju, dziateczki i przedewszystkiem grzechu unikajcie. Pan nasza nadzieja! U niego ucieczka!

Zasmuceni, wrócili mieszkańcy dworu do domu, postanowili unikać wszelkich zajść z wiejskim ludem i tak roztropnie sobie poczynać, by do żadnych z jego strony wystąpień nie dopuścić.

Wiosna już wszystkie swoje rozwinęła bogactwa: gęsty liść pokrył drzew konary tak ściśle, że promienie słońca z trudnością przeciskały się przez zieleń, ptaki usławszy gniazdka poskładały w nie jajeczka, na bronie założonej na dworskim dachu, wśród słomy i sitowia, co ją wyścielały, klekotały już bociany, wierne od lat kilku goście Zembocina. Łąki, puszystą trawą porosłe, pachniały wonią kwiatów, rozrzuconych jak wzory barwistego kobierca, oczekując ostrych kos, by je w całej krasie zdjęły ku pożytkowi ludzi; pszczółki brzęcząc korzystały z czasu, szukając w kwietnych kielichach słodkiego miodu, by zdobycz swoję ponieść do ulów i leśnych barci; komary, motyle barwne i muszki złociste, szmerem, brzękiem i

nieustannym ruchem napełniały powietrze, przesiąkłe balsamicznemi wyziewami drzew i tysiącznych roślin wygrzewających się w słońcu.

Ludzie także się poruszali ochoczo; u rzeczki i sadzawek, obok klepania kijanki, rozlegały się piosneczki dziewek i niewiast piorących chusty domowe, wierzbowe fujarki przebrzmiały już wprawdzie, ale tu i owdzie pastuszek strzegący trzody wyciągał donośne tony z ligawki, psy pomagające mu w pracy szczekały wesoło, nawet owieczki beczały jakoś ochoczo, może dla tego, że nie przeczuwały jeszcze, by je wkrótce z miękkiego runa ogołocić miano.

Halszka i Małgorzata używały zarówno z całem otoczeniem swojem wdzięków pięknej pory roku; dobra myśl i swoboda towarzyszyły im często, jako naturalny dar młodości; wychodziły odetchnąć wiosną w lesie i na łące, przysłuchać się szmerowi rzeczki, usiadłszy nad jej brzegiem i układając z łącznych kwiateczków równianki, wspominać rodziców, brata i męża których się kiedyś temi wonnemi wiązkami darzyło; a nie były to wesołe, lecz smętne i tęskne wspomnienia, bo im nietylko żal za przeszłością, lecz i przyszłości obawa towarzyszyły.

Siódmy rok osamotnienia Zembocina, dopływał do połowy, życie w niem, ożywione jedynie pracą i modlitwą, było prawdziwie sieroce; żadnej rozrywki, o gościu ani myśleć, bo wszędzie na okolicy panie trzymały się swoich progów; po wyjeździe pani Hanny parę razy zaglądał do dworu zacny i szczerze życzliwy jego mieszkankom Benko z Grądów, ale że mieszkał opodal, a na siłach i zdrowu coraz podupadał i te odwiedziny ustały.

Uważały obie siostry, że ilekroć w wycieczkach spotkać im się zdarzyło którego ze starszych kmieci, czy to przy pracy jakiej, czy przechodzącego, uchylał przed niemi głowę jak dawniej, ale w milczeniu, bez zwykłego pozdrowienia; ile zaś razy ujrzały młodego człowieka, ten nigdy nie okazał żadnej oznaki uszanowania, ale stawał i przypatrywał się z uśmiechem dopóki nie przeszły, a czasem uśmiechowi temu towarzyszył gest poufałej życzliwości, która kobiety do wysokiego stopnia oburzała.

Tych zaś młodych najwięcej było w siole; za królem bowiem, pod wodzą pana Mikołaja, poszła większa część mężczyzn średniego wieku, zostali zaś starzy i młode wyrostki, zdolni do lżejszych prac wieśniaczych, lecz za słabi do pochodów i posług wojennych. Ci w ciągu siedmiu lat swobody, nie pociągani do żadnych ciężkich obowiązków, przy matkach miękko chowani, powyrastali obecnie na młodzieńców, a nie znając wcale karności, nie spotykając się z rozporządzeniami surowej męzkiej władzy, tworzyli najwydatniejszą część ludności, butną, zuchwałą i okazującą chęci i zamiary zawładnięcia resztą mieszkańców.

Nie byłoby im to z wielką przyszło trudnością; jaki taki, jeśli nie ojca, to miał stryja, wuja, dziada między kmieciami, między kobietami matki, ciotki, siostry między kmiecemi, a nawet dworskiemi dziewkami, cóż dziwnego, że wola lub zachcianki młokosów rzadko spotykały opór, a zawsze prawie pomoc lub poparcie.

Wiedziały o tem Zembocińskie panie, unikały też starannie wszelkiego z nimi spotkania; jeżeli w lesie dojrzały zdaleka parobków rąbiących drzewo bez pozwolenia, lub pływających dworską tratewką po rzece i zarzucających podrywki, zwracały natychmiast ku domowi, nie pytając wcale, kto ich do tego upoważnił. Niepokój ich tymczasem wzrastał z dniem każdym; sieczono trawy, ale wszystko szło w kmiece zagrody, ledwie za wielkiem nawołaniem Biernata i Matysa tu i owdzie, blizko dworu stożek postawiono; wypędzano trzody na łąki, ale z mleczywa nie było co schować do lamusa, wiejskie dzieci i dziewki od dworu obdzielały się niem hojnie, ledwie zostawiając tyle, by paniom na codzienne potrzeby nie zbrakło.

Wieści z nikąd; wśród ogólnego ruchu otaczała je sama głucha cisza, tem straszniejsza, że niewiadomo było co dalej nastąpi. Małgorzata wyprawiła Matysa do Grądów, by zasięgnął języka; Benko, jako stary rycerz, musiał coś o rycerstwie wiedzieć, jako mąż doświadczony, mógł w trudnym razie dobrej rady udzielić. Matys zastał go chorym.

Na łożu łosiową skórą zasłanem dogasał starzec sędziwy; osłabła dzielna niegdyś prawica, zblakły ogniste kiedyś źrenice, ale z pod brwi krzaczystych jeszcze od czasu do czasu migały błyskawice, a z za ogromnej brody i wąsów śnieżnej białości huczał głos do dalekiego grzmotu podobny, gdy chory dawał rozkazy, lub podczas opowiadania Matysa oburzenie swoje objawiał.

Czas jakiś w głębokiej pozostał zadumie, nakoniec rzekł:

— Nie ma co! pan Mikołaj wrócić może niezadługo; ale może i nie wrócić... Na wojnie się szable kruszą... Kto to wie?... Ale czekać nie ma co... Gdybym to ja był tem co niegdyś, wprędcebym w Zembocinie ład zaprowadził, przynajmniej taki jaki u mnie; bo tu bracie nie przelewki, u mnie groza, warcholić nie dam aż do końca!

Od podniesionej mowy Benka drżały ściany, wśród których spoczywał. Po chwili milczenia mówił ciszej nieco:

— Ale ja się już ztąd nie ruszę. Słuchaj Matys, spocznij i powracaj do domu upatrzyć dobrą porę i niechaj nie czekając, cichaczem, Małgosia i Halszka przybywają do mnie. Jam ich stryjeczny pradziad, przy mnie — ba! nawet i po mnie tu im będzie bezpieczniej między mymi wiernymi dziadami, niż w tym biednym Zembocinie bez głowy.

Matys pokłonił się do nóg starcowi, po myśli mu było otrzymane polecenie.

— Kędyżby najbezpieczniej się przebrać tutaj?

— Do Szreniawy tylko i w bród, a po drugiej stronie na łące nadbrzeżnej będą się za dni parę pasały moje konie pod Tomka nadzorem; droga pójdzie śpiesznie i pewno.

Gdy Matys z takiem wrócił orędziem, pokrzepiły się na duchu niewiasty; wiernemu słudze zalecono zupełne milczenie i wszystko na pozór szło znowu spokojnie. Wiosna przechylała się już ku latu, upały coraz silniej dopiekały znożu, którego młode kłosy już dojrzewać i złocić się zaczynały; mówiono o wczesnych żniwach; bławatki błękitniały w polach, a po gajach barwinki śnieżyły się białym kwiatem; kosy, pliszki, zięby, makolągwy pośpiewywały ochoczo, nie wstydząc się już słowika, który po zwyczaju ucichł w pierwszej połowie czerwca; to życie gorące, ten ruch w całej naturze wzmagający się, niezwykle usposobiły dwie siostry. Przeczuwały, że coś się stanie, złego czy dobrego niewiadomo; Małgorzata coraz żywszą pielęgnowała nadzieję, że Mikołaj wróci niebawem; tyle lat był za domem, nigdy jeszcze, jak zasłyszała, nie było przykładu tak długiej nieobecności rycerstwa w kraju, a przez jej wysłańców wiedział przecie, że jej życie tak ciężko schodzi; pewnie już teraz powróci niezadługo. Elżbieta cieszyła się myślą schronienia u Benka, boć ztamtąd i do Brzezia niezbyt daleko, toby się i do matki przebrały; ale ile razy zwracała do tego przedmiotu rozmowę, siostra milczała lub wątpliwem wstrząśnieniem głowy odpowiadała.

Raz, kiedy dziewczyna rozbierała korzyści wyjazdu, Małgorzata spytała:

— Czy się tu tak bardzo boisz, Halszko moja?

— Jakże się nie bać, kiedy jesteśmy jakby wodą dokoła oblane, a woda codzień bliżej podstępuje i coraz się mocniej bałwani. Nie wiesz że to, że teraz nie dość chłopstwu, że porzuciii dwory, ale je napadają. W ostatnich tygodniach wzięli Słomniki, z Proszowa wygnali starą Jastrzębcową z wnukami; dobrze, że jej proboszcz dał u siebie uchronę.

— To prawda, siostro! — rzekła zamyślona niewiasta.

— Widzisz, moja Małgosiu — mówiło dziewczę, obejmując ją pieszczotliwie — to wszystko jakby Szreniawą płynie, a ona się u nas tak zatacza...

— Słuchaj, dziewczyno, dobrze mówisz; czego ty masz tu doczekiwać? Dziś wieczorem rozpowiem Matysowi, a jutro przed świtem przyjedziecie brodą na tamtą stronę rzeki...

— A ty!

— Ja? ja tu zostanę! Mąż mnie zostawił w dcmu, pewny, że mu tu wiernie strzegę poczciwych progów; on tam dla sławy i dobrego imienia może codzień głowę i piersi nastawia a jabym jego mienie dobrowolnie miała wydać na łup zuchwałemu motłochowi?

— Więc jakże? — rzekła po chwili głębokiego zdziwienia Elżbieta.

— Więc jedź! Pozdrów pradziada, pociesz matkę, jeźli się do niej dostaniesz... córką jej jesteś i innego nie masz obowiązku.

— Nie, mam obowiązek siostry. Matka mnie zostawiła przy tobie i ja cię tu samej nie opuszczę. Zresztą, kto wie, czy i do Brzezia bym się dostała. Niech się dzieje wola boża! Zostaję!

Uścisnęły się kobiety serdecznie i odtąd już o ucieczce mowy między niemi nie było. Małgorzata tylko coraz częściej długie rozmowy prowadziła z Biernatem; krzepki jeszcze staruszek krzątał się po izbach i koło domu, o świcie szarym wchodził do lamusu i długo tam przesiadywał, znać porządkował poskładane tam od dawna zapasy. Matys ze swojej strony często dom wewnątrz i zewnątrz opatrywał, wyćwiczony w trzymaniu ładu przez p. Pietrasza, korzystał z ciepłej i suchej pory, a i z małego tu w gościnie zajęcia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JASKINIA BEATUSA.

POWIEŚĆ

— DLA —

WSZYSTKICH SZLACHETNIE MYŚLĄCYCH.

(Dokończenie.)

Tak upłynęły dwa lata bez najmniejszej z jego strony poprawy. Nie szalał wprawdzie jak z początku, lecz jego spokojność pochodziła z rozpaczy i braku sił, utraconych częścią z głodu, który za karę cierpieć musiał, częścią ze złości i nienawiści na swoich uwięzicieli, najbardziej zaś ze zgryzot, któremi go sumienie wśród okropnej wściekłości dręczyło. Ta zaś sytuacya była już stosowniejszą do zastanowienia się nad sobą. Na woli tylko jeszcze zbywało. Ale często się zdarza, iż nas Bóg sam za pomocą jakiego szczególnego środka do uznania wykroczeń naszych przywiedzie.

To się też da do Dytrycha przystosować. Dnia pewnego stanęła nad borem, w którym ów zburzony stojał zamek, czarna, okropna chmura. Grzmiało straszliwie że aż dzikie zwierzęta wyć zaczęły. Każda niemal błyskawica powaliła dąb albo sosnę jaką. Potężny wicher dął ze wszystkich stron świata i miotał gradem po powietrzu. Nawet stróże rycerza stojeli przelęknieni w kącie swojej izby i przypatrywali się z niespokojnością przerażającemu widowisku przyrodzenia. Dytrych zaś drżał, jak grzesznik pod mieczem stojący i krzyczał o pomoc bez ustanku. I teraz przyrzekł Bogu, że się prawdziwie poprawi. Lecz czynił on to podczas każdej burzy, a przecież nie dotrzymał słowa. Nie dało się więc tą razą ubłagać niebo. Trzy pioruny wypadły z chmury jak najczarniejszej i zapaliły górną część wieży. Zamknięty w sklepie rycerz słyszał zapadanie się muru i trzask lecących na dół belek. Z kłębów dymu, wzbijających się nad borem zupełnie w bliskości i z łuny ognistej, która przez kratę aż do podziemnego mieszkania zaświecała, mógł dostatecznie poznać bliskość wielkiego dla siebie niebezpieczeństwa. Z przestrachu, aby go gruzy nie powaliły, krzyczał z całej siły i zaklinał stróżów po raz pierwszy na nieskończoną miłość Boga, aby go od śmierci wybawili. Lubo się przytem ile możności do kraty zbliżył, przecię go nie słyszeli, gdyż już dawno w gąszcz boru uciekli, zapomniawszy i o podziemnej ciemnicy i o Dytrychu. Będąc już na bezpieczniejszem miejscu, przyglądali się pożarowi z daleka.

Im bardziej krzyczał Dytrych, tem bliżej a bliżej huczało i trzeszczało w walącej się wieży. Teraz doszedł strach jego do najwyższego stopnia; tylko śmierć widział przed sobą. Wtem nastąpiła w duszy jego zupełna odmiana. W najciemniejszym skle-

w kącie padł na kolana i zasłoniwszy sobie oczy dłońmi, zawołał: "O Boże mój, o Boże! jakże okropne jest twe karanie! Ale w tej chwili poznaję, że moje zbrodnie jeszcze okropniejsze. Zgrzeszyłem. O jam na śmierć zasłużył! Przyznaję ze skruchą, przyznaję przed trybunałem wszechmocnego Boga, żem godzien zginąć pod gruzem tej wieży. Nie racz tylko, Panie, duszy mojej zatracić!"

W tejże chwili przycisnęła sklepienie podziemnego więzienia wieża całym swym ciężem, tak, że aż się ogromne ze skał podmury (fundamenta) rozstąpiły. Łoskot straszliwy zahuczał. Przecię został rycerz cały, bez najmniejszego uszkodzenia. Kąt bowiem, w którym klęczał, zawaliły gruzy. Tę okoliczność poczytał za wskazówkę Boskiej opatrzności i pomyślał zaraz, jakby się tu najprędzej ocalił; lecz jakaś go opanowała trwoga, gdy się naokoło szczelnie zawalonym ujrzał. Zaczął więc opłakiwać wszystkie swe szkarady i występki i prosił Boga miłościwego, którego tak często obraził, z głębi serca i ze skruchą o odpuszczenie sprośnych grzechów swoich. Kiedy mu ręce, od ciężkich kajdanów wisząc, ku ziemi opadały, zaraz je wyżej podniósł, modląc się bezustannie. Uznawszy swe niegodziwości, gdy szczerze swe grzechy opłakiwał i gdy się prawdziwie z głębi serca pomodlił, uczuł się tak spokojnym, iż był z łaski Boskiej z obżałowaniem swych grzechów z tego zszedł świata.

Całe dwa dni przeżył w tym swoim grobie. Już się czuł bliskim zgonu, aż tu usłyszał nad sobą jakieś grzebanie i głosy ludzkie. Skoro bowiem burza ustała, wzięli stróże wraz z pobliskimi węglarzami, których pożar wieży przywabił, do łopat i do motyk i kopali w gruzach dniem i nocą, aby przynajmniej ciało rycerza odkopać. Ale jakże się ucieszyli, usłyszawszy z pod zwalisk słaby głos rycerza, w którym nadzieja ostatnie siły życia orzeźwiła? Teraz pracowali z największem natężeniem. W godzinę potem dokopali się do rycerza, będącego jeszcze przy życiu.

Wylazł z swego grobu Dytrych, padł na kolana i modlił się nad zwaliskami: "Wszechmogący Boże! dziękuję ci za ocalenie i za naprowadzenie mię na dobrą drogę!" Łzy obfite spływały mu po licach; były one, podług zdania stróżów, pierwszemi w życiu Dytrycha. Ta w nim odmiana sprawiła im radość niezmierną, tak, że jeden niezwłocznie do Felzenhejmu pospieszył dla uwiadomienia o tem Matyldy i Agnieszki.

Obie się cieszyły z tej nowiny niewymownie, gdyż całe dwa lata nad jego poprawą napróżno pracowały, a teraz im doniesiono, iż się zupełnie zmienił. Dla tego też postanowiły do niego pojechać. Aby zaś jak najprędzej stanąć u celu, jechały dniem i nocą.

Lecz któż zdoła opisać rozmaite ich uczucia przy powitaniu? Dytrych padł do nóg Matyldzie. Ta go zaś podniosła, zrosiła mu lica łzami rozczulenia i dziękowała Bogu za skruszenie serca mężowskiego i za poprawienie tegoż. A dobra Agnieszka nie wiedziała z radości, co czynić. Usta jej ucałowały kajdany i ręce rodzica.

Potem uklękli wszyscy troje i wznieśli oczy i ręce ku niebu dla złożenia najszczerszego podziękowania. Z głębokości serca zawołał rycerz: "Matyldo, daj mi rękę! bo teraz dopiero jestem godnym ciebie mężem.

A ty Agnieszko podaj swe czoło, niech je ucałuję! bo teraz dopiero poznaję znaczenie człowieka, łaskę Boską posiadającego.

Teraz dopiero żyć zaczynam. Dotąd bowiem nie było me życie życiem, gdyż Bogu nie służyłem. A lube te kajdany dzierzyć muszę przez całe moje życie, przecię i w tych kajdanach będę napominał wszystkich chodzących tą samą co i ja dawniej drogą, wołając: "Grzeszny prochu, popraw się!"

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Bogobojnego ojca ostatnie życzenie.

Piąty już rok upłynął od wjazdu ojca Beatusa z dziećmi swojemi do Falkenbergu. Idąc za wolą ojca swojego Oton, odbudował zamek Waldbergen tak pięknie, jakim był pierwej i mieszkał w onymże. Dowiedziawszy się mieszkańcy z Waldbergen, iż Oton był synem dawnego ich pana, cieszyli

się z tego niezmiernie. Ale większa jeszcze była ich radość na wiadomość o życiu jego rodziców. A gdy po niejakim czasie Henryk i Teodora do syna z odwiedzinami jechali, natłoczyło się na dziedziniec wielkie mnóstwo ludzi, chcących hrabiego i hrabinę zobaczyć i przywitać.

Teraz był Beatus starcem już ośmdziesiątpięcioletnim i czuł więc codzień bardziej, iż już niedaleko od grobu być musi. Siedząc pewnego wieczora w ogrodzie i używając ostatnich promieni słońca, przywołał swe dzieci do siebie i rzekł: "Drogie dzieci! Godziny żywota mojego upływają. Ciężar starości mojej wkrótce mię w grób wtrąci. Zdaje mi się, jakby owe słońce, znikające tam na zachodzie, już nie tak często wschodzić miało. Lecz na cóż mi się dłuższe życie przyda? Znalazłem was, drogie dzieci! znalazłem was zgubionych, mogę więc umrzeć spokojnie Jedno tylko jeszcze miałbym życzenie. Cichą skałę nad Tuńskiem jeziorem, na której tyle lat przepędziłem, radbym jeszcze odwiedził. Przypomnienie przeszłości napomni mię do dziękczynienia Bogu za ojcowską jego opiekę i śmierć mi osłodzi. Jestem przekonany, iż mi tam chętnie potowarzyszycie. Wszakże i to dla was jest świętem miejscem. Tam ty mię, Henryku, znalazłeś, tam ty mię, Teodoro, po raz pierwszy jako ojca swego uściskałaś. I Oton tam z nami udać się musi. Także chętnie chciałbym jeszcze raz ujrzeć wnuka kochanego!"

To życzenie bogobojnego ojca napełniło Henryka i Teodorę niewymowną radością. Dawno bowiem upatrywali sposobności do takiej podróży, chcąc się zejść z rycerzem Dytrychem, który się już zupełnie odmienił. Dla tego też posłano jak najprędzej do Waldbergen z listem. Przeczytawszy go Oton, zaczął się zaraz szykować do wyjazdu. Podług woli ojca swego pojechał przez Felzenhejm dla zabrania z sobą Matyldy i Agnieszki. I Dytrych się do nich przyłączył — było to bowiem już po czasie kary jego. Przecię nie dał jeszcze zdjąć kajdan z siebie. Chciał on w nich w pokorze i z skruchą przeprosić hrabstwo Waldbergen.

Ruszyli więc razem w drogę, spiesząc ile możności, aby stanąć z tej strony jeziora przy chacie Klausa, właśnie wtedy, kiedy Beatus z Henrykiem i Teodorą z drugiej strony w dolinie miał zawitać. W drodze napełniały wszystkich uroczyste lecz smętne uczucia. Wszyscy przeczuwali dosyć wyraźnie wesołe i smutne chwile, mające ich spotkać na skale, a potem znowu zniknąć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY I OSTATNI.

Żal za grzechy i przebaczenie. — Piękny pomnik na mogile Beatusa.

Po niejakim czasie, gdy już dni jesienne nastały, stanął ojciec Beatus wraz z dziećmi swemi w cichej i miłej dolinie przy Tuńskim jeziorze. Starzec ośmdziesięciopięcioletni zaczął płakać. Widok jaskini, przebijającej się z nad skały słabo przez mgłę jesienną, rozczulił go serdecznie. Henryk i Teodora ściskali mu ręce i całowali je, czując dobrze, co się z nim działo.

"Kochane moje dzieci," rzekł, "zdaje mi się w tej chwili, jakbym nigdy już wyjść nie miał z tej doliny. Lat ośmdziesiąt i pięć przeżyłem: co godzinę śmierci oczekuję a oczekuję spokojnie. Tu, gdzie tyle cichych użyłem rozkoszy, tu mi jeszcze milej będzie umierać. Dałby Pan Bóg, abym jeszcze na skałę mógł wejść. Raz tylko jeszcze chcę widzieć celę moją, raz tylko jeszcze ogródek mój, raz tylko jeszcze chcę usłyszeć sygnarek mojej kapliczki; potem chętnie umieram."

Droga do jaskini Beatusa prowadziła mimo chaty Lejtholda. "Poczciwego gospodarza," rzekł starzec, "i jego dobrą żonę także przecię odwiedzimy. Może mię nawet już nie poznają. I twoją chatę, Teodoro, musimy jeszcze raz widzieć. Wycierpiałaś ty tam nie jedną dolegliwość, użyłaś tam nie jednej radości. Lecz za to Bogu najwyższemu dzięki."

Takie były słowa bogobojnego starca, idąc tą samą drogą, co i biedna dawniej hrabina, kiedy ją Rozia po raz pierwszy prowadziła do chaty swych rodziców. Teraz nastąpiło głębokie milczenie. Starzec nie spuścił jaskini z oczu. Teodora zaś witała

w milczeniu znajomą sobie dolinę, a Henryk był zajęty przypominaniem sobie dni przeszłości, dni słodkich i przykrych.

Będąc blisko chaty Lejtholda, ujrzeli tego włościanina siedzącego na ławce, ze mchu pod lipą usłanej. Stał on się już bardzo starym. Wzrok jego już nie był wyraźny. W tej chwili miał założone ręce i był zamyślonym, był smutnym. Widząc zbliżających się ludzi, sądził z razu, iż go sąsiedzi odwiedzić chcieli. Poszedł im więc naprzeciwko. Poznawszy zaś w nich bogobojnego ojca i hrabinę Teodorę, witał ich to prawą, to lewą ręką, a liczne łzy błysnęły mu na licach. "Jużem wątpił," rzekł, "wątpiłem już o zobaczeniu się z wami w tem życiu. Ale teraz witam was też za to po tysiąc razy. Pan Niebieski, ojcze Beatusie, udarował was późną starością. A wy, przezacna hrabino, wkrótce przyszliście do dawnego zdrowia; bawiąc jeszcze między nami wyglądaliście bardzo blado; lecz nie dziw, mieliście też wiele do cierpienia."

"Przyjaźń wasza," odrzekła hrabina, "i udział w losie moim, zmilały mi, dobry Lejtholdzie, największe dolegliwości. Teraz jeszcze rozczulam się serdecznie, skoro wspomnę na owe czasy. A wasza Giertruda, a wasza Rózia — ach, cóż to za dobre były dusze. Lecz gdzież jest Giertruda, skrzętna ta gospodyni?"

"Wy się pytacie o Giertrudę?" rzekł z łzami. "Giertruda mię opuściła. Zawsze wprawdzie powiadała, iż razem ze mną umrze, lecz inna była wola Najwyższego. Przecię przyrzekła mi po śmierci, iż mię wkrótce powoła za sobą do najlepszej ojczyzny. Pójdźcie, oto tu jest jej grobowiec."

To rzekłszy, poprowadził płaczących swych gości pod lipę. Była tam mogiła kwiatami i miękkim mchem usypana. "Śpij więc w pokoju," szepnęła Teodora, "śpij poczciwa, szlachetna niewiasto. O gdybym cię była jeszcze raz uścisnęła za rękę, nimżeś umarła! Gdybym ci jeszcze raz była mogła podziękować za wszystko dobre wyświadczone mi z twojej strony!"

Po chwili smutnego nad grobem stojenia, przerwał ojciec Beatus głębokie milczenie temi słowy: "Otrzyjcie oczy wasze! Wszak się wkrótce wszyscy znowu zobaczymy. Teraz pójdźmy do chaty twojej, Teodoro! Tam sobie możemy pod ruszeniem na skałę wypocząć." Poszli więc. Lejthold im towarzyszył. "Nic," rzekł, idąc obok nich, "nic nie odmieniłem przy chacie waszej, szlachetna pani. Jaką była przy waszym odjeździe, taką też została. Wszystko jest w niej, jakbyście jeszcze tam mieszkali."

Tak też było w samej rzeczy. Nie mało zadziwiła się Teodora, widząc tam te same stoły i ławki, które niegdyś Lejthold dla niej był zrobił. Ogródek i altanka były w tym stanie jak dawniej. Nawet klatka od sokołów, którą Oton w długich wieczorach zimowych był uplótł, stała w jednym kącie. Radość i żałość zjednoczyły się w duszy Teodory; dziwne jakieś uczucie powstało w niej. "A więc," rzekła głosem podobnym do zadziwienia ze snu zbudzonej osoby, "a więc się to rzeczywiście tak ze mną stało! O miły, dobrotliwy Boże, codzień poznaję tem dokładniej mądrość Boskiej Twej woli."

Tymczasem przyniósł Lejthold jabłek i winogron. Był to owoc z ogródka Teodory. Posiliwszy się Beatus i dzieci jego, poszli po krótkim wypoczynku ku jaskini Beatusa. I Lejthold ruszył z nimi, wziąwszy laskę z sobą, bez której mu ciężko iść było.

Na pogłoskę o przybyciu ojca Beatusa i o jego zamiarze co do odwiedzenia jaskini, przywdziali prawie wszyscy wieśniacy suknie odświętne, opuścili swe chaty i pobiegli na skałę.

Każdy ubiegał się ojca Beatusa po tak długim czasie i może ach! już po raz ostatni zobaczyć. Droga prowadząca do jaskini była tak ludem napełniona, jak owymi czasy, kiedy ojciec Beatus w kapliczce swojej święto jakie obchodził.

Gdy bogobojny ojciec wraz z towarzyszami swymi dla sędziwego wieku z biedą tylko po tej stronie na skałę się męcząc, powstał i na przeciwnym brzegu, w chacie Klausowej, ruch nie mały. Ile tylko mógł łodzi przygotował przewoźnik dla tłumu wieśniaków, chcących się przeprawić przez jezioro do jaskini Beatusa. Nagłe przybycie rycerza i rycerzowej do chaty Klausy ściągnęło na siebie uwagę każdego. Do tego rozeszła się wieść o nadejściu bogobojnego ojca i zwołał wielkie mnóstwo ludu po nad

brzegi jeziora. Wszyscy prosili o przewóz. W pierwszej łodzi wiosłował Oton. Rycerz Dytrych, Matylda i Agnieszka siedzieli także w niej. W drugiej łodzi, w której Rózia z dziećmi i niektórzy sąsiedzi się znajdowali, wiosłował przewoźnik. Potem następowały inne łodzie z starcami i młodzieżą. Im bliżej przypływała łódź do skały, tem bardziej biło serce w rycerzu Dytrychu. Ręce jego drzały gwałtownie, tak, że aż brzęk kajdan dał się słyszeć. A oczy jego były ciągle łzami napełnione. Mało mówił, a jeźli usta otworzył, jękał tylko temi słowy: "Ach! cóżem uczynił! Cóżem ja uczynił!" Otoh starał się go uspokoić, opisując mu wielką dobroć dziadunia i ojca swego. Matylda zaś przyciskała męża swojego do serca, rozpływając się we łzach radości, z powodu prawdziwej jego skruchy. A Agnieszka, tkliwa Agnieszka, ściskała go za kolana, to całowała go w ręce, mówiąc: "O mój ojcze, mój drogi ojcze! Jakaż słodycz napełnia serce moje od czasu, kiedy cię tak mogę nazywać "

Teraz stanęli na drugiej stronie i ruszyli na skałę. Radość powszechna i ciekawość były przyczyną, iż prędzej i odważniej, jak zwykle, po przykrej i niebezpiecznej ścieszce do góry się pnięto. Stanęli więc przy jaskini prędzej od ośmdziesiątpięcioletniego starca i jego towarzyszów. Na skale zastali już mnóstwo wieśniaków. Teraz była cała blisko na niej równina zajęta. Jedni klęczeli na wpół, drudzy zupełnie, inni znowu rozłożyli się na mchu. Wszyscy zaś oczekiwali z upragnieniem sędziwego Beatusa.

Wreszcie ukazał się, Henryk i Teodora prowadzili go. Silił się i drzał widocznie. Z biedą tylko największą zamęczył się na górę. W ogródku, zaraz przy wchodzie, a blisko celi, usiadł na murawę. Toż uczynili Benryk i Teodora. Wtem, zdjąwszy czapki wieśniacy, wykrzyknęli uroczystym półgłosem: "Witamy cię, witamy cię po tysiąc razy przy cichej jaskini, czcigodny ojcze! Oto cię prosim o błogosławieństwo." Tu padli wszyscy na kolana, schylili czoła i wnieśli ręce, a Beatus chciał ich pobłogosławić.

Wtem wyczołgał się wśród tłumu rycerz Dytrych, wybladły i wynędzniały i rozpostarł się krzyżem u nóg bogobojnego ojca. "Zatrzymajcie się," zawołał, "nie błogosławcie, świątobliwy starcze! Jest tu jeden waszego błogosławieństwa niegodny. Tym niegodnym ja jestem." Beatus chciał go wziąść za rękę i podnieść go, lecz nie mógł jej sięgnąć. "Wstań," rzekł łagodnym głosem, "wstań, mój synu i powiedz mi, kto jesteś." Na to odpowiedział rycerz z żalem jak najgorytszym: "Jam Dytrych Felzenhejm." Po tych słowach zaświeciły oczy Beatusa łzami. Chciał wstać i podnieść opłakującego swe przewinienia; chciał go uściskać serdecznie, lecz był do tego za słaby. "O nie u nóg moich," rzekł, "nie u nog moich, Dytrychu! Tu, oto tu przy łonie jest miejsce dla ciebie. Jużem ja słyszał o żalu twoim za grzechy, już o twojej poprawie. Lecz cóż znaczą łańcuchy te na rękach twoich? Teraz kocham cię równie jak mego Henryka. Pójdź, niech cię uściskam."

"Nie, czcigodny ojcze!' zawołał rycerz, "prędzej nie wstanę, dopóki z ust waszych nie usłyszę przebaczenia, przebaczenia wszystkiego złego, com wam i waszej rodzinie wyrządził. Prędzej nie spadną te kajdany z rąk moich, aż mi me skruszone, zniweczone serce uspokoicie."

Teraz zbliżyła się Matylda z Agnieszką i uklękły ta po prawej, ta po lewej stronie Beatusa. "O przebacz," błagały, tuląc spłakane swe oczy w sukienki, "przebacz mu, czcigodny ojcze! Już od dawno swe błędy odżałował, odżałował z całego serca.' A płacząc na głos, zawołał i lud: "Przebacz mu, przebacz!" Widok ten wzruszył starca zbyt głęboko. Trzymając ręce wyciągnione nad rycerzem, także płakał. Długo nie mógł nic przemówić. "Wstańcie," rzekł wreszcie, "wszyscy wstańcie. Bóg miłościwy, który w świętej tej chwili na nas spogląda z nieba, a przed którym dzisiaj już może stanę, on wie, iż wam, rycerzu Dytrychu, już dawno przebaczyłem z całego serca wszystkiego, co się stało, zapomnijmy wzajemnie. Kochajmy się i bądźmy sobie przyjaciołmi. Podajcie mi rękę, podajcie mi ją mojej prawicy. Tak, to dobrze! To danie ręki jest przebaczeniem. Zgodziliśmy się, zjednaliśmy się za łaską Boga, który was natchnął lepszemi myślami. Wszystkich przytomnych biorę za

świadków tych chwil rozkosznych. Ojcowie, matki będę o tem opowiadać swym dzieciom. A Ty, odwieczny Ojcze, bądź pochwalony, bądź uwielbiony, za nieskończone Twoje miłosierdzie!"

Po tych słowach bogobojnego ojca nastąpiło długie, głębokie milczenie. Wszyscy przytomni zdawali się bujać w innej, nadziemskiej krainie. Nie było to zwyczajne uczucie, które ich duszami wstrząsało. W owej chwili był Pan Bóg niby obecniejszym na skale niż na innem miejscu. Nabożniej, święciej oddychały tam dusze.

Wreszcie przerwał Dytrych ciszę głęboką, podnosząc się zwolna i brzękając kajdanami u rąk jego wiszącemi. Przystąpiwszy do hrabiego Henryka, rzekł: "Prędzej nie będę spokojnym, aż i wy mi przebaczycie, i wy, któremu tyle narobiłem nieszczęścia." Dalej nie dał mu Henryk mówić. "Dosyć!" rzekł, "ani słowa więcej! Myśmy wszyscy już dawno ci przebaczyli. Podajmy sobie ręce w świętej chwili tak pogodnego nieba, z którego Bóg sam na nas spogląda. Nazwijmy się przyjaciołmi tu w obecności naszego sędziwego ojca. Nazwijmy się! niechaj wszyscy słyszą, żeśmy przyjaciołmi."

Teraz stanęli przed Beatusem, którego zżyłe oczy jeszcze raz zajaśniały, a którego lica poraz ostatni lekkim rumieńcem z radości zapłonęły. Stojąc przed nim, dali sobie ręce. Był to uroczysty widok. Po prawej stronie stojała Teodora z Otonem a po lewej Matylda z Agnieszką. Wszyscy płakali z rozkoszy. I lud był wskroś wzruszony. Henryk zaś przemówił donośnym głosem: "Jak się tu ręce nasze łączą, tak niech się serca nasze zbratają, niech się zbratają w czystej miłości. Niechaj nic nie starga naszego przymierza. Ażeby ten związek i po śmierci naszej trwał jeszcze, mają się złączyć i dzieci nasze. Niewinność i miłość będą dla nich węzłem najświętszym. Takim sposobem zrosną się w jedno na wieki dwie rodziny szlachetne, które od dawna w niezgodzie żyły."

Te były słowa Henryka. Wśród skruchy drżał Dytrych z radości na tak niespodziewane obznajmienie. Oko Otona świeciło ogniem najczystszym. Wprzód spojrzał na Agnieszkę a potem na niebo. A na licach Agnieszki rozpływał się lekki, miły rumieniec. Oko jej niebieskie było ku ziemi spuszczone; potem zwróciło się na rosłego młodzieńca, z którym się złączyć i tak pieczęcią pokoju i pojednania zostać miała. Teodora i Matylda całowały się nawzajem. Łzy ich spływały się w jedno. Ale dla osiemdziesiątpięcioletniego starca była ta pora za rozczulająca. "Zmiłujcie się, kochane dzieci," rzekł, "to za wiele, za wiele na mnie. O Boże! dzięki Ci, dzięki! W ciągu osiemdziesiąt pięciu lat nie doznałem żadnej tak wielkiej, tak błogiej rozkoszy, jak dzisiaj. Teraz chętnie umieram. Jużci zawarte między wami przymierze pokoju i pojednania. Śmierć więc słodka będzie. Oczekuję jej z uśmiechem, gdyby przyjaciela dawno oczekiwanego. Wszechmocny! o zbyt wielka jest dobroć Twoja. Jakże ci mogę inaczej wyrazić moje uczucia? Jakże inaczej może być wielbienie moje świętszem i czystszem. Lecz wkrótce będę klęczał u tronu Twego wiecznego. Wtedy to będę Cię czcił na wieki wieków."

Zamilkł. Z wszystkich źrenic płynęły łzy rozczulenia. Wielkie łkanie pozwoliło zaledwie zrozumieć słowa mówiącego. Słabszy i z większem drzeniem oparł się o ramię Henryka. Wargi jego bladły coraz bardziej, a oczy zawarły się pół na pół. Wreszcie odezwał się znowu: "Bóg miłościwy wysłuchał modły moje. Zsyła mi bowiem śmierć, gdy się na tej znajduję skale. Czuję, czuję, że ani godziny dłużej nie będę bawił między wami. Nim słońce tam za owemi jodłami zniknie, już mię Pan najwyższy powoła do siebie. Klęknijcie więc w około, niech was jeszcze raz pobłogosławię, a potem umrę spokojnie."

Uklękli. Po prawej klęczał Henryk z Teodorą, a po lewej Dytrych z Matyldą, przed nim zaś Oton z Agnieszką. Nad tą młodą parą drżały ręce sędziwca. Za nimi klęczał Lejthold, Klaus i Rózia z swemi dziatkami, a naokoło w półkole lud zgromadzony. Z ostatnią siłą umierającego rzekł starzec: "Niech was błogosławi Trójca święta, Bóg Ojciec, Bóg Syn i Bóg Duch święty. Łaska nieskończona Stwórcy niech na was spływa na wieki. Amen. — Bądźcie zdrowi, bądźcie zdrowi! Wspomnijcie na

ośmdziesiątpięcioletniego starca, wspomnijcie na chwilę zgonu jego, a kochajcie, miłujcie się. To jest ostatnie moje życzenie."

I mdlejąc, przytulił się do łona Henrykowego. Wolno oddychał a głęboko. Wargi zaś jego zostały przy dawnej swej przyjemności i dawnym uśmiechu. A gdy słońce już nisko nad wierzchołkami jodłowego lasku było, żądał, aby mu z celi przyniesiono krzyżyk prostej roboty, przed którym dawniej nie jednę wieczorną godzinę na cichej przepędził modlitwie. Dał także swym dzieciom do zrozumienia, iż sobie życzy jeszcze raz słyszeć ulubioną pieśń, jako też sygnarek kapliczki. Przewoźnik Klaus stanął więc pod skałą, na której wierzchołku dzwonek był zawieszony. Ach! jakże żałośnie brzmiał teraz dźwięk znany! Dzieci zaś starca śpiewały wolno i uroczyście:

Jak na powietrzu w lekkich obłokach
Gwiazdy ogromne wodzi w ich tokach;
Jak niezliczony piasek nad morzem
Zna i przeliczy okiem swem Bożem:
Tak i o ludziach łaska Jego święta
Ciągle, troskliwie pamięta.

Przy ostatnich słowach tej pieśni zawołał ojciec Beatus. "Panie! — Boże! — Mój zbawicielu! — wołasz mię, — przybędę!" — I skończył na wieki. Zgon jego był tylko lekkie, wesołe przejście do innej, lepszej krainy. Widząc dzieci, że już umarł, położyli go ostrożnie a z smutkiem na miękką murawę i zamknęli mu lekko oczy. — Stanąwszy na samym środku hrabia Henryk, odezwał się donośnym i uroczystym głosem, tak, że wszyscy przytomni zrozumieć go mogli: "Była to słodka śmierć! Tak umierają sprawiedliwi w Panu." Teraz dopiero oddali się wieśniacy potędze swej boleści i zaczęli razem głośno płakać. Lejthold zaś przystąpił do zmarłego starca, wziął go za martwą prawicę i rzekł: "A więc już prawdziwie nie żyjesz? Pozdrów mi moją Giertrudę. Pójdę ja wkrótce za tobą." Tu odwrócił się na stronę i zakrył sobie oblicze obiema rękoma.

Gdy już zmrok skałę ogarnął, blade światło księżyca na martwe ciało bogobojnego ojca Beatusa padało, podnieśli Henryk, Dytrych i Oton kamień grobowy, pod którym sobie leżeć życzył Beatus, gdy jeszcze na skale przemieszkiwał. W towarzystwie szlachetnych pań i wielu wieśniaków złożono nieboszczyka do grobu. Potem zostali jeszcze przez noc całą w jaskini Beatusa i ronili łzy żałości, iż postradali ojca najukochańszego. Nazajutrz zaś pożegnawszy wieśniaków i miejsce tak święte, puścili się z powrotem do swych włości.

Teraz był Dytrych znowu w swoim Felzenhejmie, która to posiadłość zmieniła się w ucieczkę nieszczęśliwych i ciemiężonych. Wójt zamkowy, który się także poprawił, odzyskał dawny swój urząd. Hrabia Henryk mieszkał na zamku Falkenbergu, gdzie się był urodził. Oton zaś otrzymał od ojca zamek Waldbergen, a kilka lat później rękę Agnieszki. Porębacza Ruperta, którego od dnia do dnia dla jego ku sobie wierności i uczciwych postępków coraz bardziej lubił, zrobił zarządcą w dobrach swoich.

Oton i Agnieszka żyli ciągle bogobojnie i cnotliwie. W szerz i w dłuż nie można było znaleść małżeństwa szczęśliwszego. Bóg miłościwy pozwolił im, iż uzyskali ostatnie starca błogosławieństwo. Byli oni też pełni wdzięczności za wszystko dobre, które na nich z rąk Jego przenajświętszych spływało i przypominali sobie często bogobojne słowa ojca Beatusa. Co trzeci rok odwiedzali wraz z rodzicami swemi jaskinią i obchodzili tak pamięć jego. Na mogile dźwignięto ich z rozkazu pomnik z czarnego marmuru, na którym były wyryte te słowa: "Tu spoczywa bogobojny ojciec Beatus, dawniej Rudolf hrabia na Falkenbergu. Miły i spokojny jak jego życie, był i zgon jego. Przychodniu, stojąc tu na świętem tem miejscu, pobaw nieco i pobłogosław tej mogile. A gdy ci stanie w oku łza rzewności, uroń ją na nocne fijołki, kwitnące tu na górze i rzeknij: Śpij w pokoju, szlachetny starcze! Niech cię ta jaskinia zachowa aż do wielkiego owego poranku, kiedy głos aniołów i trąba zmartwychwstania nas wszystkich z grobu wskrzesi."

KONIEC.

DESZCZ I POGODA.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

p. LEONA GOZLAN,

TŁOMACZENIE Z FRANCUZKIEGO.

(Dokończenie.)

Baronowa *(chowając się za stół.)*

Ależ mój panie, człowiek, który mi się zdawał, tak przyzwoitym, uprzejmym. .

Nieznajomy.

Będąc nadto uprzejmym i przyzwoitym stałem się tym, czym dzisiaj jestem. Nie z zamiłowania, ani z potrzeby, ale przez nieszczęśliwą miłość stałem się zbójcą.

Baronowa.

Z rozpaczy?

Nieznajomy.

Miłość uczyniła mnie rozbójnikiem.

Baronowa.

Musi być straszną pańska historya.

Nieznajomy.

Okropną.

Baronowa.

Drzę cała, ale jestem ciekawą.

Nieznajomy.

Kochałem żonę pewnego adwokata.

Baronowa.

Musiała być piękną.

Nieznajomy.

Powiedziałbym najpiękniejszą, gdybym pani nie poznał.

Baronowa.

Rabuś, ale bardzo uprzejmy.

Nieznajomy.

Kochaliśmy się szalenie, to jest ja ją kochałem. Jednego dnia zastałem w jej pokoju pałasz! Zadrżałem.

Baronowa.

Często sądzi się z pozoru.

Nieznajomy.

Pałasz, ale pałasz, i zowiesz to pani pozorem?

Baronowa.

Lecz prócz pałasza nikogo nie było.

Nieznajomy.

Był pani, był kapitan od żandarmeryi. Wziąłem ten pałasz i nim przybiłem ich oboje do drzwi.

Baronowa.

Ah, okropność!

Nieznajomy.

Ujęto mnie i osądzono. Czy Pani byłabyś mnie na karę skazała?

Baronowa.

Dalej, dalej, panie to bardzo ciekawe.

Nieznajomy.

Osądzono mnie na śmierć, lecz były okoliczności łagodzące! Mąż...

Baronowa.

Ten adwokat?

Nieznajomy.

Mąż na drugi dzień, gdy jego żonę zamordowałem, przyszedł do mnie z wizytą, a nie zastawszy mnie, zostawił mi swój bilet. Widziano w tem zmniejszenie kary, skoro mąż oddał mi wizytę; zresztą ani kapitana, ani mej kochanki na śmierć nie zabiłem; więc skazano mnie na 20 lat ciężkiego więzienia. Przysiągłem zemstę całej żandarmeryi, wszystkim adwokatom; uciekłem z więzienia i stałem się rabusiem.

Baronowa *(na stronie.)*

Co za namiętność! Cóż za straszny człowiek!

Nieznajomy.

Nie miałem racyi mówić, że miłość mnie do tego doprowadziła? A miłość, jaką dla pani uczułem, nie wiem do czego mnie skłoni?

Baronowa.

Przez Boga, panie!

Nieznajomy.

Pani, co jesteś milion razy piękniejszą, aniżeli żona adwokata; żądam, chcę twojej miłości.

Baronowa.

Ratunku!

Nieznajomy.

Milcz pani, jestem uzbrojony silnym postanowieniem.

Baronowa.

Już milczę, już milczę!

SCENA XVI.

Ciż, Anzelm *(za drzwiami.)*

Anzelm *(pukając.)*

Proszę pani Baronowej!...

Nieznajomy.

Pozwalam pani odpowiedzieć.

Baronowa.

Czego chcesz?

Anzelm.

Pociąg nadszedł.

Baronowa.

A państwo Roberwatowie?

Anzelm.

Nieprzyjechali. Pociąg się spóźnił cokolwiek. Straszne wody wezbrały, wszystkie pola zalane.

Nieznajomy *(do siebie, ale tak żeby Baronowa słyszała.)*

Muszę uciekać, łatwobym mógł być tutaj schwytanym (*głośno.*) Pani, składam moje uszanowanie, pewnie mnie pani dłużej zatrzymywać nie będziesz.

Anzelm *(za drzwiami.)*

Proszę pana, jeżeli pan chcesz się stąd wydostać, to radzę się spieszyć, bo ludzie ze wsi twierdzą, że komunikacya przez miesiąc będzie przerwana.

SCENA XVII.

Baronowa — Nieznajomy.

Baronowa.

Miesiąc, o Boże, znów miesiąc samotności. Panie, powiedz mi pan szczerze. Pan napadałeś i obdzierałeś, ale nie zabijałeś nikogo?

Nieznajomy.

Nikogo i nigdy.

Baronowa.

To zostań pan u mnie, wolę rozbójnika, niż samotność, niż nudy.

Nieznajomy.

Co ludzie powiedzą, a reputacya pani?

Baronowa.

Jestem wdową.

Nieznajomy.

Gdybyś pani nią być przestać chciała.

Baronowa *(na stronie.)*

Czy szalony?

Nieznajomy.

Wiesz pani, że nie jestem szklarzem, należę do zacnej rodziny, jestem krewnym Robertswalow.

Baronowa.

Robertswalow?

Nieznajomy.

Nie inaczej, dziś nawet miałem ich czekać na dworcu kolei żelaznej i miałem udać się z nimi do pewnej wdowy, baronowy Gontran, z którą chcą mnie swatać.

Baronowa.

Pan się u niej znajduje.

Nieznajomy.

Czy Pani byś nią była?

Baronowa.

A pan jesteś owym nieznajomym, którego Robertswalowie przynieść z sobą mieli?

Nieznajomy.

Teodor, margrabia de Vernier, on sam.

Baronowa.

A Mirandon?

Nieznajomy.

Mirandon, jest w więzieniu (*całuje ją w rękę.*)

Zasłona spada.

KONIEC.